Rozmaitości

DNIA 11. LIPCA — Ner 28. — 1835 ROKU.

WYIMEK

Z TRAJEDYI RASYNA: ATALIJA.

Tłómaczenia W. Kopystyńskiego.

Treść krótka: Joad, arcykapłan, służący prawemu Bogu, przechowuje w swojéj świątyni następcę tronu z krwie Dawida, którego w czasie rzezi żona arcykapłana ocaliła. Atalija, przywłaściciełka tronu i nienawistna prawéj religii, dręczy się przeczuciem i we śnie widzi dziecię, które jéj śmierć zadaje. Toż samo dziecię postrzega Atalija w świątyni, a mając już w podejrzeniu arcykapłana, lęka się zdrady i żąda wydania małego Eliacyna. Joad odkrywa Eliacynowi, iż jest potomkiem krolów, i każe go koronować. Lewitowie i kapłani stają w obronie monarchy. Wojsko Atalii pobite; Atalija sama ginie.

AKT III.

SCENA PIERWSZA.

MATAN.[1] NABAL.[2] CHÓR.

MATAN.

Niech kto do Jozabety spieszy z témi słowy,
Że tu Matan tajemnéj żąda z nią rozmowy.

JEDNA Z DZIEWIC CHÓRU.

Matan! w którego ustach bluźnierstwo i zdrada!

NABAL.

Co to jest! wszystko pierzcha, nikt nie odpowiada.

MATAN.

Wnijdźmy.

SCENA DRUGA.

ZACHARIASZ.[3] MATAN. NABAL.

ZACHARIASZ.

Zuchwalcze, dokąd zmierzasz kroki swoje?
Zostań w miejscu, nie ważsię wstąpić w te podwoje.
Tam jest dla samych świętych sług Pańskich mieszkanie,
Podług prawa z bezbożnych nikt w niém nie postanie.
Kogo szukasz? mój ojciec w tym dniu uroczystym
Brzydzi się bałwochwalcy widokiem nie czystym,
A matka właśnie teraz modlitwom oddana,
Z upokorzeniem ducha błaga niebios Pana.

MATAN.

Mój synu, twe wzruszenia niech się uspokoją,
Ja przyszedłem tu mówić z godną matką twoją,
I do tego królowéj rozkazem się szczycę.

SCENA TRZECIA.

MATAN. NABAL.

NABAL.

Ich dzieci już nadęte tak, jak i rodzice.
Lecz królowa w tym razie czemu nic nie działa?
I w przedsięwzięciu swojém czemu się wstrzymała?
Dziś z rana przez Joada dotknięta boleśnie,
I zjawieniem dziecięcia zagrożona we śnie,
Kiedy ją na Joada wściekły gniéw zapala:
Już miała tu przez ciebie wprowadzić Baala.
Tyś wielką ztąd swą radość powierzyć mi raczył,
Jam sądził, żeś część łupu i dla mnie przeznaczył,
Dla czegoż odstępuje tak pięknego celu?

MATAN.

Od dwóch dni nie mogę jéj poznać; przyjacielu,
Jużto nie ta królowa światła, dzielna, śmiała,
Co od swéj płci lękliwéj wyższą się zdawała,
Co nieprzyjacioł nagle porywając w szpony,
Wiedziała, ile znaczy moment utracony;
Tę duszę wielką nęka zgryzota ukryta,
Waha się, powątpiéwa, słowem: to kobiéta.
Tu tylko-com w jéj serce lejąc żółć do rany,
Rozdraźnił umysł groźbą nieba już zachwiany,
Tu tylko co mi zemstę powierzając, każe,
Ażebym jak najpilniéj zgromadził jéj straże;
Gdy w tym stające przed nią jedno biédne dziécię,
Wzgardzone nawet od tych, co mu dali życie:
Czy wrażenie strasznego snu na niéj zmniejszyło,
Czy ją ujęło jakaś czarodziejską siłą;
Widzę, że jéj surowość wolnieje, upada,
I zemstę swą do chwili poźniejszéj odkłada.
Tak na niczém jéj wszystkie pełzną przedsięwzięcia.
Już mi po części znany los tego dziecięcia,
Rzekłem, ślad jego rodu już mi się wyjawia,
Wiém, że Joad spiskowym często go przedstawia,
Tak jak spodziéwanego drugiego Mojżesza,
A kłamliwą wyrocznią rzezwi i pociesza;
Tu ujrzałem spłonienie mocne na jéj twarzy
Nigdy się z kłamstwa skutek tak prędki nie zdarzy.

---

1 Matan, kapłan apostata, ofiarnik Baala.
2 Nabal, poufny Matana.
3 Zachariasz, syn Joada i Jozabety.

»I miałażby niepewność dręczyć moję duszę?
»Ja z téj niespokojności uwolnić się muszę.
»Idź, powiedz Jozabecie (z uniesieniem rzecze),
»Że już są w pogotowiu i ognie i miecze,
»Że się wnet ich świątynia gruzami przywali,
»Jeżeliby mi tego dziecka nie wydali.«

NABAL.

Dla dziecka, które dotąd nieznane nikomu,
Które może przypadek wtrącił do ich domu,
Swojéj świątyni zburzyć nie dopuszczą przecie.

MATAN.

Znaj więc najdumniéjszego człowieka na świecie:
Piérwéj niżeli kiedy w moje ręce złożą
To dziécię poświęcone na usługę Bożą,
Joad najsroższéj śmierci ofiarą się stanie,
Zbytnie do tego dziecka znam ich przywiązanie,
Com słyszał z ust królowéj, to mi już dowodzi,
Że Joad wié z jakiego rodu on pochodzi.
Co bądź, ściągnie on na nich nieszczęście okropne,
Oni go nie wydadzą, reszty ja sam dopnę;
I wiém, że mocą dzielną miecza i płomieni,
Ta nieznośna świątynia w gruzy się zamieni.

NABAL.

Któż w serce twoje wléwa tę zawziętą mściwość?
Czy cię tak dla Baala unosi gorliwość?
Co do mnie, wiész, że idąc z szczepu Izmaela,
Nie znam Baala, nawet Boga Izraela.

MATAN.

Przyjacielu, jak mało dotąd znasz Matana,
Jażbym się miał zaślepiać dla tego bałwana?
Dla tego drewna, które pod mojémi oczy,
Choć je ochraniam, robak na ołtarzu toczy?
W tém miejscu służyć Bogu moje powołanie
Może byłoby dotąd trwało nieprzerwanie,
Gdyby chęć przewodzenia, gdyby żądza chwały,
Ze ścisłémi się Jego prawami zgadzały.
Mamże ci jeszcze gorzkie rozpościérać skargi
Na owe sławne moje z Joadem zatargi,
Gdym się z nim o tyarę ubiégał z zapałem,
Przez jakie drogi szedłem i co ucierpiałem?
Nie z tryumfem wyszedłszy wreszcie z tego sporu,
Przywiązałem się duszą i sercem do dworu.
Zbliżyłem się do królów, i szczęśliwym losem
Wkrótce się dla nich głos mój stał wyroczni głosem.
Płaszcząc ich przez pochlebstwa, przez różne zabiegi,
Kwiatami uścielałem Im przepaści brzegi,
Ich namiętnościom niosłem wszystko na ofiarę,
Zmieniałem po ich woli i wagę i miarę.
Ile Joad przez dziką nieugiętość duszy
Ich drażliwe i harde śmiał obrażać uszy,
Tylem na ich ujęcie swą zręczność wysilał,
Kiedym przykrą im prawdę z przed oczu uchylał,
Kiedym słuszność przyznawał każdego ich gniewu,
I nieszczęsnych krwie nigdy nie szczędził przelewu.
Wreście Bogu, którego królowa wybrała,
Buduje się świątynia świetna i spaniała.
Jerozolimę taka krzywda w rozpacz wtrąca,
Następców Lewi rzesza smutna, łzy lejąca,
Wznosi ku niebu jęki w przeraźliwym wrzasku.
Jeden Matan zmierzając do sławy i blasku,
Rzuca Hebreów, dzieło królowéj pochwala
I zyskuje najwyższe kapłaństwo Baala.
Zatrwożyło Joada wyniesienie moje,
Wkładam na skroń tyarę i z nim w równi stoję.
Lecz wyznaję, że mimo to chlubne znaczenie,
Boga, któregom zrzekł się, dręczące wspomnienie,
Dotąd jakimś postrachem duszę mi zatruwa,
I chęć zemsty do saméj wściekłości posuwa.
O! gdyby tę świątynią burząc mściwa ręka
Dowiodła, że się Jego gniewu nic nie lęka,
O bym w pośrodku rzezi, gruzów i zniszczenia,
Okrucieństwem zagłuszył w sobie głos sumienia!
Lecz otóż ona.

SCENA CZWARTA.

JOZABETA.[4] MATAN. NABAL.

MATAN.

Jestem od królowéj posłem,
Pokój ci, i urazy niepamięć przyniosłem.
Księżno, któréj łagodność powszechnie jest znana,
Niechaj cię nie przeraża obecność Matana.
Odgłos, który jest w jakiémś u mnie podejrzeniu,
Stwierdzając wnioski wsparte na sennêm marzeniu,
Nawet skarżąc Joada o jakoweś spiski,
Gwałtem ściągał na niego jéj gniewu pociski.
Nie chcę się chlubić, jaka była moja rada,
Chociaż znam przeciw sobie nienawiść Joada;
Miło mi, że obrazę dobrocią nagrodzę,
I oto ze słowami pokoju przychodzę:
Żyjcie, obchodźcie jawnie swe uroczystości,
Złóżcie tylko w jéj ręce na dowód wierności,
(W czém napróżno wam niosłem przychylną obronę)
To dziécię od rodziców swoich opuszczone.

JOZABETA.

Eliacyna?

MATAN.

Sam się za nią nieco wstydzę,
Że w próżne sny za nadto wierzy, sam to widzę,
Ale bolesną sercu jéj zadacie ranę,
Jeżli to dziécię zaraz nie będzie mi dane.
Królowa na odpowiedź czeka niecierpliwa —

JOZABETA.

Otóżto pokój, z którym ona się odzywa.

MATAN.

Do przyjęcia go zkądże ten wstręt w Jozabecie?
Czy tak małą przysługą nabyć go nie chcecie?

JOZABETA.

Dziwiłam się, jak Matan mógłby mówić szczerze
I zrzekłszy się chytrości działać w dobréj wierze,
I jak do złych postępków serce wzwyczajone
Zdołałoby cnotliwie wspierać naszę stronę.

---

[4] Jozabeta, ciotka Joasa, żona wielkiego kapłana.

MATAN.

Nacóż się tak uskarzasz, o coś tak troskliwa?
Czy ci Zachariasza twego kto porywa?
Czy obawiasz się może o Eliacyna?
To wielkie przywiązanie dziwić mię zaczyna.
Czyto on dla was skarbem tak rzadkim na świecie,
Czyto wy swego zbawcę w nim przewidujecie?
Rozważ, jeźli odmówisz, będę musiał wierzyć
W odgłos, który nieznacznie zaczyna się szérzyć.

JOZABETA.

W jaki odgłos?

MATAN.

Że rodu świetnego to dziécię,
Na jakiś zamiar wielki zachować myślicie.

JOZABETA.

A Matan na ten odgłos w swym mściwym zapędzie...

MATAN.

Księżno! wywiedź mię z błędu, jeźli jestem w błędzie.
Wiém, że dla fałszu będąc z największą odrazą,
Wolisz sobie dać w piersiach utopić żelazo,
Jeźliby trzeba życie tym kosztem ochronić,
Aby w najmniejszém słowie do fałszu się skłonić.
Więc wy o losie tego dziecka nic nie wiécie?
Gruba ciemność zasłania z jakiéj krwie wziął życie?
Wcale nie wiész kogo miał ojca, kogo dziada?
I czyją ręką dany w opiekę Joada?
Mów, słucham, co mi powiész, w to uwierzę śmiało,
Twe słowa twemu Bogu niechaj będą chwałą.

JOZABETA.

Zdrajco! śmiész mówić aby Bóg mych słów był celem,
Ty! co bluźnierstwa jesteś sam nauczycielem?
Twojeż usta Istności jego wzywać mają,
Nieszczęsny, co zasiadasz tam z bezbożną zgrają
Gdzie rozléwając swoje truciznę, fałsz włada,
Ty, któremu nałogiem chytrość, podstęp, zdrada...

SCENA PIĄTA.

JOAD.[5] JOZABETA. MATAN. NABAL.

JOAD.

Gdzież jestem? jakiż oczom moim widok sprawiasz?
Córko Dawida! i ty z tym zdrajcą rozmawiasz?
Ty go tu ciérpisz, ani trwoga cię przeszywa,
By otwarta z pod jego nóg przepaść straszliwa,
Wybuchając z swych głębi zjadliwe płomienie,
Albo nań spadające tych murów sklepienie,
I ciebie nie zniszczyły? Ten obrzydły Bogu,
Po co ważył się zbliżyć do świątyni progu?

MATAN.

Łatwo poznać Joada z tego uniesienia;
Jednakże mógłby więcéj mieć zastanowienia,
Czcić królowę i tego nie pokrzywdzać razem,
Którego ona swoim zaszczyca rozkazem.

JOAD.

Cóż więc? jakąż nieprawość jéj wola ogłosi?
Co za wyroki taki doradzca przynosi?

MATAN.

Wolą krolowéj jużem odkrył Jozabecie.

JOAD.

Precz mi z oczu poczwaro najczarniejsza w świecie!
Najszkaradniejszych zbrodni idź dopełniaj miary,
Już jesteś w liczbie znanych z zdrady i niewiary
Abirona, Doega i Architopela.
Już psy, których się pastwą stała Jezabela,
Oczekując na ciebie zasłużonéj kary
Są u bram twoich, łakną już swojéj ofiary.

MATAN.

Nim się dzień skończy... będą rzeczy wyjaśnione...
Kto z nas... Lecz pójdź Nabalu.

NABAL.

W któraż idziesz stronę?
Zkądże tak mocne w tobie widzę pomieszanie?
Tu nasza droga.

(Dokończenie nastąpi.)

GENUA.

WYIMEK Z PODRÓŻY P. MÉRY PO WŁOSZECH.

Sully (statek) płynie z Marsylii do Neapolu, i po drodze zawija do trzech portów włoskich; Sully, jestto most latający, most o trzech łukach, zarzucony z Marsylii do Wezuwiusza. Całą tę podróż odprawić można nie podnosząc się z łóżka, zwłaszcza, jeżeli kogo morska choroba nawiedzi, choroba, na którą nikt nie umiéra, która tyle dobrego sprawia, i którą piękne Morze Śródziemne zsyła na podróżnego jak naturalne przeczyszczające lekarstwo. Statek wypływa jak na jaką uroczystość: na pokładzie namiot rozbity, winda okrętowa w kwiaty ubrana, żagiel błyszczy od promieni słonecznych; nie jestże to jakbyś znajdował się na owéj starożytnéj nawie, która z ostoi Pirejskiéj płynęła do Delos; lecisz tam po ślizkiém źwierciadle spokojnego, uciszonego morza; po obu bokach statku szumią tryskające w górę piany; wszystkich twarze pogodne, wszystkich oczy zwrócone ku południowi; wyraz *»Italia!«* brzmi w ustach każdego; kraina ta leży tak nie daleko, iż nikt w czasie przejazdki nie lęka się zachorować na nudy. Z Marsylii do Genui jakby przez strumyk przepływasz; najmilszato podróż na świecie. Nigdy jeszcze żaden z pielgrzymów, którzy do Włoch podróżowali, nié miał tyle pobożnego, wrzącego zapału artysty, wiążącego się z wszystkiémi wielkiémi przypomnieniami, ile ja go w moję

2

---

[5] Joad, wielki kapłan.

piersi uczułem. Włochy, które zamyślałem zwiedzić, nie były dla mnie, czém dla innych: byłyto moje Włochy; Włochy moich lat dziecięcych, moich nauk, moich marzeń w szkole; byłato *Italia* Menalka, *Lacyjum* Janusa, kraina Lawinii; byłato *Italia* mojego wieku mezkiego: *Italia* Antoninów, Syxtusa V., Leona X., Dantego, Giotta, Michała Anioła, Rafała. Do tych wszystkich imion, wszystkich wrażeń i przypomnień, od najwcześniejszéj młodości mojéj, powiązały się obrazy i fizijonomije, i miejscowe barwy, które należąc jedynie tylko do mnie, zarodziły się w mojéj fantazyi, a w duszę moję wryły się tak mocno, iż żadną podróżą, którą czytałem, w inne kształty urobionémi być nie mogły. Ileżto ja podobnych naczytałem się opisów! ileżto zimnych myśli, wykrzyków podziwu, krytycznych postrzeżeń w książkach z tytułami: »Włochy jakie są,« to jest takie, w których po spaniałych marmurowych pomnikach na pchły polują. Obojętny na te ramoty, puściłem się do Włoch. Uczuć i pomysłów towarzyszących mi w téj drodze, nabyłem przez zgłębianie dziejów sztuki, nie zaś przez podania podróżnych. Pałałem żądzą dowiedzenia się, czyli dawny mój sposób ubóstwienia zarzucę, czy się uznam za oszukanego przez ułudę dziecięctwa, czy też na zawsze umocnię się w owém wyznaniu, które jako drugą moję religiję uważam. Stałem na przodzie okrętu, jak Eneasz, żeglujący na témże samém morzu. Już noc osiadała, chłodna i świeża, jak każda noc na wiosnę. Z wielką boleścią moją musiałem zejść na dół do kajuty; lecz jakże serce biło mi z radości skorom sobie pomyślał, że jeżeli znowu na pokład wystąpię, już zobaczę przed sobą Włochy.

Żadnym sposobem nie mogłem zasnąć. Po kilku godzinach daremnego do snu zmuszania się, znowu wyszedłem na wierzch, i udałem się na moje stanowisko. Noc była gwiazdami olśniona, przepyszna; wybrzeże leżało tak blizko, że wyraźnie rozróżnić można było wioski, lasy i góry. Sully leciał ptasim lotem; powietrze tchnęło wonnością, właściwą tylko temu morzu, tym wybrzeżom, temu niebu. »Gdzież jesteśmy?« zapytałem kapitana Arnaud, przechadzającego się po pokładzie. »Sąto włoskie wybrzeża,« odpowiedział, »owa zaś wieś nazywa się: Albenga.« — Nigdy imię kochanki nie brzmiało słodziej mojemu uchu, jak to miło-dzwięczne imię. Całe życie moje myślić będę o téj Albendze, tak dzwięcznie mi brzmiała pod ugwieździonem niebem, w ciszy nocnéj, na spokojnych wodach, w obliczu włoskich wybrzeży. Oparty na balkonie, długi czas ścigałem przez nocną mgłę dzwonicę Albengi i sąsiedni ostrówek, na którym także wznosi się wieża. Z brzaskiem poranku wypłynęła na widokręgu góra Albengi; przy dzwięku tego imienia, którym pinije i lasy cytrynowe *Italii* koło méj duszy spiéwały, kraj cudów stanął przede mną.

Sully pędził lotem wiatru wprost do Genui; pyszneto miasto wypłynęło z głębi morskich, u stóp Apeninów; dalekie jéj wybrzeża zdawały się być białémi, świecącémi punktami zasiane; a za każdém posunięciem się statku, owe punkty stawały się coraz większémi.

Po kilku godzinach Genua w całéj swojéj spaniałości leżała przed nami, czoło swoje spromieniała słoneczną atmosferą, a stopy kąpała w zatoce Liguryjskiéj. W znacznéj byliśmy jeszcze odległości, a już wyraźnie rozpoznać mogliśmy olbrzymie jéj gmachy, latarnię morską, wały i okopy, klasztory, kopuły, dzwonice, i *ville*, unoszące się nad brzegami morza na pochyłościach wzgórzów. Nic nie może powabniéj i godniéj zwiastować zbliżania się krainy włoskiéj, jak Genua; ona jest marmurowym portykiem owéj odwieczněj galeryi, która kończy się w zatoce Tarentu; ona jest kolumnadą owego wielkiego muzeum, które swoje obrazy, swoje posągi, swoje miasta, na ścianie Apeninów wywiesza, i atmosferę swoję krzyżowym powiewem obudwóch mórz, w ustawnéj utrzymuje świéżości.

Zawinąwszy do ostoi, wyznaję szczérze, niebyłato pamięć sławy *dożów* genueńskich, która mię wzruszała, sława ich nigdy nie miała dla mnie pociągu. Sam tylko czysty materyjalny widok opanował moje zmysły; oczom objawił się najcudniejszy obraz, jakiego nawet najrozkoszniejsza nie wymyśli fantazyja. Byłto pałac, który zapuścił się w morze, i którego piękny rzęd kolum biało marmurowych w spokojném odbijał się wód źwierciedle. Gmach ten zdawał się być wcale niezamieszkałym i opuszczonym; głucha cisza tkliwego użyczała mu wyrazu, bo tak położony i tak piękny, jakichże scen wesela i życia nie bywał on

świadkiem! A teraz stał w obec mnie, jak grób szeroki, kędy cień jakiego króla przechodził się przy słodkim szmerze drzew pomarańczowych i pluskającéj fali.

»Oto pałac Dorii,« mówił przy mnie stojący podróżny, który co roku dwa razy w sprawach handlowych jeżdżał do Genui i na wszystko, co już znał do przesytu prawie, obojętnym się okazywał, i tylko przestawał na tém, że ciągle swoich sąsiadów to w prawo to wlewo wysyłał: »Udaj się wćpan do pana Michel, tam bardzo wygodne przyjęcie; zjész co tylko zapragniesz; albo do hotelu Maltańskiego przy porcie, i tam wyśmienicie; co do mnie, chodzę zawsze do pa. Michel, tam już mam swój pokój. Znajdziesz tam bardzo miłe Francuzkie; dostaniesz ostryg małych, jak dziesięć *sous*. Ale, *á propos*, nie zapomniéj, odwiedziéć most Carignan; ja go już ze sto razy oglądałem. Wystaw sobie wćpan, że idąc po nim, widzisz sześcio-piętrowe domy pod swémi nogami. Jestto rzecz najpiękniéjsza do widzenia w Genui.«

Wynaleziono piorunochrony, a ludzkość do tego wynalazku tak wiele przywiązała ważności, jakby koniecznėm miało być prawidłem, że połowa ludzi od piorunu ginąć powinna. Jednakże są takie pioruny, których odwrócić nie podobna, a które w głowę podróżującego artysty za każdym biją krokiem, najczęściéj w chwilach jego zapału i natchnień najszczytniejszych. Co za szkoda, że Franklin i przeciw tym ciosom nie obmyślił sposobu! Ilekroć tylko myśl jaka, jakie marzenie, fantazyja jaka w zarodzie swoim bujać zacznie, już można być pewnym, że ołowiane słowo padnie ciężko z ust niezgrabnych i wszystko zgruchocze. Wcalem nie pytał tego nieproszonego burzyciela moich zachwyceń i marzeń, czyli to jest pałac Doriów, gmach ten poetyczny w oczach moich znaczył więcéj, daleko więcéj, niż pałac Doriów: był mi wszystkiém, a teraz stał się — niczém! Dziś jest on mieszkaniem kapitana okrętowego, dowodzącego flotą, na którą dość jednego z naszych brygów, aby ją zniszczył do szczętu. (!) Skoro złudzenie spłoszoném zostanie już go nie wywołasz na powrót: tu jakiś urzędnik zdrowia, zapowietrzony z profesyi, zapytuje, czy kto nie ma cholery; tam *garson* z domu gościnnego wścibia ci kartę w rękę, na któréj po włosku napisane: »Kuchnia francuzka;« ówdzie sardyński sierzant miejski żąda od ciebie paszportu; kapitan zwołuje podróżnych i przelicza ich jak trzodę owiec; wskakujesz do łodzi, towarzyszą ci przekleństwa wszystkich łodziarzy, których nie uczciłeś swoim wyborem, jakbyto można było wskoczyć odrazu do 20 łodzi dla dostania się na ląd. Gdzież podziała się Genua, to spaniałe, dumne, marmurowe miasto? gdzież jest królowa Liguryjska? Przed nami stoją brudne ulice, szpetne domy; tu brama jakby wiodła do więzienia; tam komora, która przetrząsa kieszenie. Przebiwszy się przez ciasne, ciemne, błotniste ulice, dostajesz się do oberzy Michla. Otrzymujesz osobny pokój; stajesz w oknie, patrzysz, i nie widzisz nic prócz domu sąsiada, o który, abyś głową nie uderzył, nie wychylaj się za wiele. Gdzież jesteś Genuo z całą swoją pychą i dawną spaniałością?

Po śniadaniu wychodzisz z hotelu, zawracasz około kościoła San-Siro, wstępujesz na nie zbyt wysoką *salitę*, i oto Genua leży przed twémi oczyma. Góry marmurowe w kawały połamano, aby utworzyć tę cudowną ulicę, która z samych pałaców powstała. Żadne oko nie jest przygotowane lub sposobne do tego widoku, bo zamyka się mimowolnie, jakby z ciemnicy od razu wyszło na jasność słoneczną. Nié masz nic drugiego w świecie, coby tak świetne robiło wrażenie, jak ten podwójny rzęd pomników, między którymi ciągnie się bruk z płytów granitowych, ozłocony owym miłym, wonnym blaskiem, jaki włoskie niebo z taką hojną miłością zléwa na dzieła dzieci swoich. Człowiek uczuwa się w tém powietrzu tak lekkim na widok tych cudów, że ciało zdaje się płynąć i unosić na promieniach. Przezroczystość powietrza, połysk dniowy, niebo pogodne, wonne, świéże tchnienie blizkiego morza, wszystkoto użycza téj nieporównanéj ulicy jakiegoś rodzaju uroku, poezyi, czarów, niby w krainie marzenia; całe godziny przepędzisz w zachwyceniu przed témi pałacami, témi wschodami, u których lwy stoją na straży, gdzie je rzesza posągów zaludnia i tryumfująco wznosi się w powietrze, wraz z orszakiem kolumn marmurowych, przy szmerze wodoskoków i w cieniu pomarańcz. Z radośném uniesieniem stajesz na progu jakiego pałacu, zaglądasz w święty zmrok marmurowego dworca, w te

ciche rozkosze, gdzie promień żywéj wody pod sklepieniami kwitnących drzew cytrynowych wytryska. Tam szczebiocą w igraszkach młode kobiéty, stworzone dla tych drzew, tych studzień, tych ogrodów, kobiéty słodkiéj swobody, życia pełnego rozkoszy, omdlewające i ruchliwe, czyste czarodziejki tych fantastycznych pałaców, a zich ust wieją dźwięki słodko pieściwe, jak szmer jedwabnéj szaty. Inne przechadzają się znowu lekkim krokiem po gładkich granitowych płytach ulic. Często zdaje się, jakby grono dziewic rafaelskich wystąpiło z ram swego obrazu, dla zwiédzenia ulicy Balbi; jakby ją z sobą w niebo unieść chciało. Z széroko rozwartą powieką staniesz w milczeniu to u podnóża pałacu Durazzo, który swemi orlémi kolumnami w obłoki się wzbija; to przed pałacem Doria Fursi, którego czoło uwieńczają sady; wszędzie, za każdym krokiem wstrzymywać się potrzeba; albowiem po cudzie, na który patrzysz, nowy się zjawia, niepodobny ani do tego, który najbliżéj nas czeka, ani do owego, który nas przed chwilą w podziwienie wprawiał. Wchodzimy do pałacu Serra, który nas przyjmuje w swojéj czarodziejskiéj sali z *lapis lazuli* i złota; z koryncklémi kolumnami i czarnémi sfinxami, wysokie okna wychodzą na marmurowe pawilony, podobne do tych, jakie Aryjosto dla jenijuszu architektów Tagliafico wynalazł; a wszędzie komnaty tych pałaców zaludnione są owym światem ideałów, zaczarowanych na płótnie ręką Van Dyka, Guido Reni, Andrzeja del Sarto, Veronesa, Tycyjana, Albano i Caraccich. Samotność i cisza przybytkom tym użyczają dzisiaj, charakteru uroczystego zadumania; sąto ozdoby przepychu upłynionéj świetności; w powiewie zefiru, który w pomarańczach tarasu pieśń swoję nuci; zdaje się, że słyszysz owe włoskie chóry, brzmiące niegdyś na godach. O! jeżeli kiedy życie warte było nazywać się życiem, to wtedy tylko, gdy wrzało na ulicy Balbi, w owych chwilach genueńskiéj świetności, śród promienistego wieńca kobiét, śród woni z morza i pagórków, śród królewskiego orszaku z poetów i artystów, śród neapolitańskiéj muzyki — ach, w ówczasto sny słodkie rozłechtane demonem południa, wieczory rozlegające się serenadami, nocy pełne szczérych, błogich powierzeń, pełne tęsknoty miłosnéj, wléwały w duszę prawdziwe życie, w tenczasto nie żal żyć było. O jak cudownym zapewne wydawał się w ówczas pałac Durazzo, jak cudownym był wieczór, kiedy Van Dyk odsłonił obraz boskiéj hrabiny Brignola. Jakie upojenie, jaka muzyka, jakie wonie powiewały wtedy pod skrzydłami podwójnéj kolumnady! Ona tam była, ona, królowa godów stała pod marmurową rotundą, czysta Medycejska Wenus, która, zbiegłszy ze swojéj podstawy, osłoniła się w jedwabie i atłasy; ileż tam słów płomienistych, ileż życzeń płynących z gorącéj piersi szémrało w około ubóstwionéj Brignoli. Oczy młodych panów odwróciły się od obrazu Van Dyka i skonały na anielskiém obliczu samego wzoru, na szyi białéj jak kość słoniowa, na obnażonych ramionach, na miękkich fałdach jéj szaty jedwabnéj; na wzorze, którego ręka mistrza dla tego nie zdołała wydać dokładnie, bo dreszcz miłośna wstrząsała jego rękę. W śród téj rzeszy, którą słodkie upojenie i dzielna namiętność rozpalały, pod témi napowietrznémi portykami przechadzali się dumnym krokiem wszyscy owi plebejusze uszlachceni własnym jeniuszem, wszyscy owi twórcowie tych pałaców: Bartolomeo Bianco, Angiolo Falcone, Rocco Luzago, Alessi, Carlo Fontana, Simone Cantone, Batisto Ghiro, wszyscy sławni budownicy, mężowie, którzy z wzniosłémi ideami stawali w obec bogatych magnatów, i wszystko od nich otrzymywali czém je zrzeczywiścić mogli. Dokoń. nastąp.)

SPIÉW.

Czy znacie źródło w sercu człowieka?
Źródłoto zwykli natchnieniem zwać;
Promienny strumień z niego wycieka;
By w serca innych nadzieje lać.
Nie raz to źródło zwykło się palić:
Natenczas taki rozsyła blask,
Jak grom, gdy pragnąc Tatry obalić,
Z chmurzonych leni się mask;
Ciszy się źródło: szeptem anioła
Do ludzkich przemawia dusz,
W ich twarzach radość pała do koła,
Jak krew rubina na licach róż..
Czy znacie źródło w sercu poety?
Słyszcie jak z niego wypływa śpiew!
Dziwny, tak dziwny, jak twarz komety,
Huczy, grzmi, w lekki przeléwa się wiéw.

H. J. TUROWSKI.

— Ze Lwowa. —

Zaszczytnie znany malarz pan Hadziewicz, bawiący w Krakowie, przybył teraz do naszego kraju i trudni się malowaniem obrazów do cerkwi w Starzawie (w obw. Przemyskim), kosztem pana Gwalberta Pawlikowskiego. Malarz ten zwiedzał sławniejsze zbiorami malowideł miasta Europy i w Rzymie czas długi bawiąc, doskonalił się w swéj sztuce.

Statystyka obw. Żółkiewskiego. Obwód ten liczy 96 mil kwadr., 4 miasta, 17 miasteczek, 267 wsi, 79 przysiołków 35,997 domów i 208,019 mieszk. Żółkiew jest siedliskiem urzędu obwodowego, znajduje się tam zamek, mieszkanie niegdyś króla Jana III., dwa klasztory, i liczy 3,900 mieszk. Inne miasta są: Sokal z sławnym klasztorem i 3,218 m. Lubaczów z 2,900 m. Bełz z 1,700 m. Rawa, pamiętna zjazdem Piotra W. z Augustem II. Turynka, wieś, sławna urodzeniem Stanisł. Żółkiewskiego, i Glińsko z fabryką fajansów.

Obwód Złoczowski zawiéra 90 m. kw., sześć miast, 5 przedmieść, 20 miasteczek, 323 wsi, 26 przysiółków, 36,908 domów i 230,006 mieszk. Stołeczne obwodu miasto, Złoczow, liczy 4,000 mieszk. Brody, wolne handlowe miasto, z przeszło 20,000 mieszk,, powiększéj części Izraelitów; handel tego miasta dość wielki i sięga w dalekie kraje; znajduje się tam szkoła realna. Busk z 3,360 m., prowadzi handel drzewem do budowy; niegdyś była tam znaczna garbarnia. Załośce z 4,000 mieszk. Gliniany z 2,282 m. Kamionka z 1,210 m. Olesko, sławne zamkiem, w którym się król Jan urodził. Podhorce, wieś, z zamkiem Rzewuskich, szczyci się znacznym zbiorem starożytności. Korsów z wodami mineralnémi. Jużkowice, Kołtów i Ponikwa, wsie z pięknémi ogrodami w smaku angielskim.

Z Krakowa. Trzeci zeszyt »Powszechnego Pamiętnika nauk i umiejętności« za miesiąc czerwiec wyszedł z druku. Zawiéra w sobie następujące przedmioty: Rzecz 1. Nowa epoka poezyi polskiéj (angielszczyzna i niemczyzna). 2. Charakter historycznego romansu w 19m wieku. 3. Sławiańszczyzna. Sławianie w Węgrzech. 4. Podróż po Ukrainie. 5) Przegląd ludności wszystkich narodów kuli ziemskiéj: *a)* podług początku narodowego; *b)* podług wyznań. 6. Uwagi nad niektórémi wyrazami lekarskiémi. 7. Kilka słów o machinach parowych, a w szczególności o ulepszeniach przez Samuela Halla zaprowadzonych. 8. Kronika literacka: *a)* Nauki historyczne i historyja w r. 1834; *b)* przegląd nowoczesnéj literatury francuzkiéj. 9. Rozmaitości: O francuzczyznie w Polszcze; wiadomości naukowe, literackie, historyczne, statystyczne, przemysłowe, lekarskie i t. d. Na tym zeszycie, kończy się oddział piérwszego ćwiércrocza »Powszechnego Pamiętnika nauk i umiejętności;« pismo to, wychodzić będzie nadal pod temiż samémi, jak dotąd, warunkami.

W Wiédniu wychodzi dzieło drogą prenumeraty pod tytułem: »Gospodarstwo wiejskie w niemieckich, czeskich i galicyjskich prowincyjach Państw Austryi. *(Die Landwirthschaft in den deutschen, böhmischen und galizischen Prowinzen)* przez F. J. Schopl. Co miesiąc wychodzi zeszyt jeden, cena zeszytu 1 złr. m. k.

W dziele Maciejowskiego »Historyja prawodawstw sławiańskich« takie jest zdanie o charakterze Sławian w ogólności: Sławianie mieli ciała rosłe, zdrowe i silne. Z twarzy wszyscy byli podobni do siebie, również z koloru włosów, oczu, z mowy i charakteru, który był prosty, otwarty i łagodny. Z natury weseli, lubili szczególniéj muzykę. Skromni w jedzeniu i napojach, uczt nie lubili, łatwo znosząc głód i trudy. Nad rolnicze znoje, przenosili pasterstwo i chów bydła; ale z czasem polubili wiejskie prace i zupełnie im się oddali. Gościnni dla cudzoziemców, i waleczni w boju, szlachetnie obchodzili się z jeńcami, którzy za okupem mogli wracać do domu, lub pozostać u nich i żyć w przyjaźni. Domy swe stawiali w niedostępnych miejscach, a będąc ze wszad otoczeni nieprzyjaciołmi i lękając się zawsze ich napadu, mieszkania swoje opatrywali wielu wychodami, aby się w razie niebezpieczeństwa tém łatwiéj ratować mogli. Ztąd mało dbali o wygodne mieszkanie, które zazwyczaj składało się z chałupy nieczystéj i brudnéj. Walcząc w obrębie swych granic, nadludzkie okazywali męstwo. Lekka zbroja najbardziéj im przystała, i walka nie w szeregach, ale pojedyńcza. W bitwach z wrogiem zaciętym, używali strzał jadem zatrutych.

Pełne zapału myśli o miłości jezyka ojczystego natrafiamy w nowym madziarskim dramacie, pod nazwą: *Szent a' törvény, szent az esküvés* (Swięte jest prawo, świętą jest przysięga). »Naród, który nie umié cenić własnego języka, sam sobie wieczny grób kopie. Czcijcie uczonych, którzy w ojczystéj mowie przemawiają do swoich spółobywateli; w nich żyje mądrość narodu, przez nich padół nędzy staje się rajem. Rodowitym językiem powinni mówić nauczyciele ojczyzny. Uczony, który w obcéj mowie własne wyraża pomysły, podobny jest do niewdzięcznego drzewa, które na naszéj ziemi ciągnąc soki, gałęzie gdzie indziéj wyciąga, i owoc swój w sąsiedni ogród urania.« W czasie przedstawienia tego dramatu w Debreczynie, powyższe wyrazy wyrzeczone w mowie ojczystéj, wielkie na słuchaczach sprawiły wrażenie, którym szczególniéj zapalona młodzież hucznie pokłaskiwała, wśród okrzyku: *»Eljen! Lelyes!«* (Niech żyje! wybornie!).

Wytłoczenie dzieła: »Pamiętnik o handlu portów Nowéj-Rossyi, Multan i Wołoszczyzny *(Memoire sur le commerce des ports de la Nouvelle-Russie, de la Moldavie et de la Vallachie)* przez p. Juliusza Hagemeister,« ukończoném zostało. Dzieła tego dostanie w księgarni pp. Mieville i Sauron w Odessie.

P. Capefigue znany już jako dziejopisarz, już jako polityk, nie ustaje w swojéj płodności; teraz świeżo wydał dwa dzieła: 1. Wspomnienia historyka; podróże po Szwajcaryi, po Włoszech, Sycylii i Hiszpanii, z uwagami historycznémi i politycznémi o stanie obecnym tych krajów, we 2ch tomach. 2. Rossyja, podczas wojen cesarstwa; wspomnienia historyczne, ze wstępem historycznym; 2 tomy.

Na ostatniéj wystawie sztuk pięknych w Paryżu rozdano 53 malarzom nagrody w medalach, a 214 malarzy odebrało zaszczytne wspomnienie.

Parobek, orzący pole przy Flavy-le-Martel, natrafił na żwir. Właściciel pola, domyślając się, iż więcéj żwiru znaleść może, kazał w tém miejscu kopać. Pod znaczną ilością wydobytego żwiru, nadybano wschody, którémi spuszczono się do ciemnéj piwnicy, i znaleziono w jednéj beczce puszkę blaszaną, w téj znajdowała się druga z ołowiu, i taki gotyckiémi literami nosiła napis: »Konstantyn książę Quillon, który swój zamek Flavy-le-Martel opuszczać musi, zostawuje dzieciom swoim 20,000 liwrów w monecie złotéj, bitéj za czasów Nerona, znajdującéj się w piwnicy.« Jakże gorliwie szukają teraz tego skarbu!

Kiedy P. Anson podróżował po Wschodzie, pewnego dnia najął dla siebie okręt, w celu zwiedzenia wyspy Tenedos. Starzec grecki, który był stérnikiem, w czasie drogi rzekł do niego z wyrazem dumy i wewnętrznego zadowolenia, wskazując ręką: »Oto tam stała niegdyś nasza flota.« — »Co za flota?« zapytał pan Anson. — »Co za flota?!« odpowiedział zdziwiony starzec; »jużciż nie czyja, tylko nasza grecka flota, przy oblężeniu Troi!« —

Pewien szlachcic w Smoleńsku, nazwiskiem Szelegów, wynalazł machinę do żęcia, która zabezpiecza od wszelkich strat z uronienia kłosów pochodzących.

Osobliwsza astronomiczna teoryja. Oto jest wyrachowanie, które zrobił sławny francuzki astronom Arrago: Jeźli napiszemy horyzontalnie rzęd liczb, zaczynających się od zera, w którym począwszy od drugiéj liczby, każda następna jest podwojeniem poprzedzającéj, jakoto: 0, 3, 6, 12, 24, 48, 96, 192, i potém do każdéj z tych ilości 4 dodamy, natenczas otrzymamy rzęd liczb, zawiérający stosunkową odległość planet od słońca:

4, 7, 10, 16, 28, 52, 100, 196,
Merkury, Wenera, Ziemia, Mars, ... Jowisz, Saturn, Uranus.

Tym sposobem 4 oznacza odległość Merkurego, 7 Wenery, 10 Ziemi i t. d. To prawidło znano już do 100, t. j: do odkrycia Uranusa, gdy zaś przy wynalezieniu tego planety oddalenie jego od słońca zgadzało się z tym stosunkiem, natenczas nie zostało żadnego powątpiewania o dokładności tego rachunku. Uważać tu należy, że między Marsem a Jowiszem, t. j: blizko téj odległości od słońca, która liczbie 28 odpowiada, znajduje się miejsce próżne, które zapełniono planetą Ceres, a poźniéj dopiéro przez odkrycie trzech planet Pallady, Junony i Westy. Drogi tych czterech planet idą tak blizko siebie, iż astronomowie tego są zdania, jakoby to były ułamki jakiegoś większego planety, rozbitego na drobniéjsze części przez wybuch wewnętrzny, lub uderzenie się z kometą.

Sposób zachowania trupów od zepsucia. Dr. don Giuseppe Trenchina w d. 11. kwietnia r. b. podał sposób zachowania trupów od zepsucia: Czytając w dziele: »O czystym sposobie leczenia,« przez Hahnemanna, o ostatnim symptomacie arszeniku: że trup po dniach szesnastu był jeszcze świéżym i niezepsutym — zaczął robić doświadczenia, czyliby nie można ciała ludzkie tym sposobem od zepsucia ochronić. Po długich próbach udało mu się nakoniec na niezmienną trafić regułę, tak, że publiczną robił sekcyję na trupie, który miał 66 dni od czasu napuszczenia go arszenikiem. Trenchina, przybywszy do Neapolu, przedstawił ministrowi wojny (Trenchina jest lekarzem wojskowym w Palermo) swoje odkrycie, i otrzymał od niego rozkaz, aby dał dowód swéj sztuki na dwóch trupach szpitalu wojskowego. Trenchina przygotował trupy w d. 3. marca, a na 18go zaprosił cały fakultet medyczny i wiele innych osób, aby sekcyi przytomne były. Po dokładném roztrząśnieniu, następne spisano do protokułu uwagi: Ciała miały pozór żywych osób, które spokojnym snem usypiały; plamy od spalenizny zniknęły, rany od plastrów ciągnących, przybrały świéżość zdrowego ciała, trupy zupełną miały czerstwość, i taką cerę, jak osoby najzdrowsze; nigdzie nie przebijała się okropna trupia bladość, włosy na głowie i brodzie trzymały się mocno i nie łatwo można je było wyciągnąć, a w żadnéj części ciała przykry zapach, pochodzący z zepsucia, nie dawał się uczuć. — Nazajutrz minister wojny zdał w radzie państwa raport bardzo zalecający doktora Trentschina; w skutek czego j. k. mość postanowił, dać mu 3000 duk., i miejsce drugiego przydwornego lekarza, wraz z orderem Franciszka I.; udzielono mu także przywilej na lat 10, pod warunkiem, że akademii lekarskiéj odkrycia swego udzieli. Stosownie do tego na d. 11. kwietnia zaprosił p. Trenchina całe *collegium medicum* i wszystkich wojskowych lekarzy, i odczytał rozprawę, w któréj wykładał ważność tego odkrycia, i pożytek ztąd dla anatomii w zachowaniu przedmiotów patologicznych w stanie przyrodzonym wyjaśniał, i następnego przepisu udzielił: Potrzeba wziąć 1 funt lub więcéj arszeniku, z 1 1/2 unija cynobru dla zafarbowania na czerwono, i 24 funty spirytusu winnego, lub wody, a za pomocą otworu, zrobionego w głównéj żyle *(carotis)*, szprycuje się wewnętrze; gdyby zaś wnętrzności znajdowały się w złym stanie, podobne szprycowanie zrobić można w części niższéj, za pomocą narzędzia używanego do wypompowania wody u chorych na wodną puchlinę; po zaszyciu otworów trup może wszędzie zostawać, nawet i na świéżém powietrzu. Po odczytaniu téj rozprawy, kazano natychmiast przynieść dwa trupy, i w przytomności wszystkich napuszczono jednego spirytusem, drugiego wodą. Potém zamknięto je do pokoju, który opieczętowano. Po dniach 40 odbędzie się sekcyja jednego z tych ciał, a po sześciu miesięcach drugiego. — Dr. Trenchina jest bardzo zręczny w swoim zawodzie, tak, iż mało kto, jak on, potrafi przez jeden otwór, w najodlegléjsze części ciała i w najcieńsze naczynia krwiste ów płyn arszenikowy rozprowadzić, przez co najwięcéj może zapobiega przystępowi zepsucia.

Niewiasta bohatérką. Gdy Karol Śmiały, książę burgundzki, oblęgał r. 1472 Beauvais w Pikardyi, postanowił szturm do tego miasta przypuścić. Burgundczykowie, dostawszy się szczęśliwie na główne okopy, wdarli się w środek miasta. Między mieszkańcami powstał popłoch, i zaczęli uciekać; w tém niewiasta, imieniem Hachette, rzuca się na przeciw pierzchającym i woła: »Chcecie uciekać; czyż nie macie króla, nie macie dzieci? Uciekacie, mając mury w obronie; sama bronić ich będę.« Na odezwę tę bohatérki odwaga powraca w serca obywateli i rzucają się na przeciw uderzającemu nieprzyjacielowi. Trzykrotnie odparci, cofają się powtórnie do miasta i kryją się w kościele. Przybywa Hachette, a zwracając się do niewiast, rzecze: »Obywatelki! płaczecie, gdy działać potrzeba. Bojaźń zostawcie mężom i bierzcie broń, którą oni porzucili. Gdy oni są kobietami, wy mężczyznami bądźcie; pójdźcie za mną!« W świętym zapale chwytają niewiasty broń i walczą z odwagą, mając Hachette na czele. Podziwienie przejmuje Burgundczyków na widok tych Amazonek i chwiać się zaczynają. Hachette zdobywa chorągiew burgundzką, któréj sam Karol bronił. Książę ucieka, a Burgundczykowie za nim. Miasto Beauvais ocalone zostało, i to przez niewiastę. Ku uwiecznieniu tego świetnego czynu rozkazał Ludwik XI., król Francyi, ażeby co roku procesyja się odprawiała, któréj niewiasty przewodniczyć miały. Hachette dostała w darze zdobytą chorągiew i jak długo żyła, chodziła na czele owéj processyi, gdy zaś umarła, znak ten zwycięztwa zawieszono na jéj grobie w kościele dominikańskim.

W Paryżu przedają lekarstwo kosmetyczne pod nazwą: Balsam Osmana Oglu z Konstantynopola, za użyciem którego wschodnie piękności aż do lat najpoźniéjszych bez marszczków i plam zachowują płeć swoję; balsam ten od wielu wieków znany jest we wszystkich serajach.

Pewnemu małżonkowi, który, nabrawszy sobie sukna na frak, przyniósł takowe do domu, rzekła kłótliwa połowica: »Nie pojmuję, jak mogłeś wybrać tak dziwny kolor! nigdy też jeszcze nic dobrego nie wybrałeś sobie!« — »Prawda,« odpowiedział małżonek, »początek zrobiłem od ciebie.«

Mody. Serwisy do herbaty najmodniejsze są malowane, na podobieństwo owych czasz, które znaleziono w Pompei, t. j: na dnie czerwoném, czarne hetruskie rysunki. Cały serwis tego rodzaju dostać można za 200 do 400 fr. — Do stroju włosów w neglizu damy używają pospolicie nowo-wynalezionych metalowych grzebieni, które nadzwyczaj są lekkie i o lepszość idą z szyldkretem. Takie grzebyki *à papillottes* liczą się do nowości. — Nowym wynalazkiem są tak zwane chińskie woreczki, które od rzezimieszków i oszusów są zabezpieczone. Modniarka paryzka, pi. Laroche, najlepiej umie robić takowe. — Kolor niebieski przeważa w strojach, i najlepiéj się wydaje; czarno wiele elegantek się ubiera, co równie im do twarzy.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.